

Cudowne ocalenie

Miracle survival

Pneumonol. Alergol. Pol. 2006; 74: 440–442

Urodziłem się 1 grudnia 1924 roku w Warszawie i mieszkalem w dzielnicy Żoliborz.

W połowie lipca 1944 roku zachorowałem (ból brzucha) i przyjęto mnie do Szpitala Wolskiego przy ulicy Płockiej na oddział gruźliczy, gdzie była wydzielona sala chorób wewnętrznych. Dwa lata wcześniej również leżałem w tym szpitalu i na tym samym oddziale (wydaje mi się, że w tej samej sali) na zapalenie opłucnej. Za każdym razem byłem pod opieką dr Janiny Misiewicz.

Wybuch Powstania Warszawskiego 1 sierpnia 1944 roku zastał mnie w szpitalu. Pierwsze 2 dni przebiegały radośnie, byliśmy bowiem pewni, że zwyciężymy i Warszawa odzyska wolność. Trzeciego dnia sytuacja radykalnie się zmieniła. Do szpitala zaczęto znosić rannych, a mnie, ponieważ czułem się już dość dobrze, przydzielono do opieki nad nimi. Dochodziły do nas wiadomości o tym, co działo się w mieście obok nas. Niemcy rozstrzelali ludność cywilną – mieszkańców Woli, oraz palili domy. Zdaliśmy sobie sprawę, że dzieje się coś strasznego.

Kulminacyjnym wydarzeniem było wtargnięcie do szpitala 5 sierpnia (nie pamiętam dokładnie godziny) żołnierzy mówiących po rosyjsku pod dowództwem oficerów niemieckich. W pierwszej chwili ukryliśmy się w swoich salach. Niedługo wpadli tam żołnierze i krzyżąc, wypędzali do holu na dole. Jakiś czas staliśmy w holu i słyszeliśmy strzały. Rozeszła się pogłoska, że ci, co nie mogli opuścić sal samodzielnie, byli rozstrzeliwani na łóżkach. Jeżeli dobrze pamiętam, w sali, w której leżałem, stały cztery łóżka. Po przekątnej do mojego łóżka leżał młody chłopak, którego nie widziałem ani wśród zebranych w holu, ani później. Być może został zabity w sali.

Ja i wiele osób ubrani byliśmy w bieliznę i szlafroki szpitalne. Mieliśmy nadzieję, że potraktują nas jako chorych cywilów. Po zebraniu sporej grupy osób wyprowadzono nas na ulicę Górczewską. Naszym oczom ukazał się makabryczny widok: pałace się domy, leżące na ulicy trupy, jakieś porozrzucane rzeczy osobiste. Zdaliśmy sobie sprawę, co się dzieje. Pełnych trwogi, zrozpaczonych i rozmodlonych pędzono nas pod eskortą żołdaków ulicą Górczewską do wiaduktu kolejowego. Zagnano nas do

wnęki w nasypie wiaduktu po prawej stronie ulicy, a naprzeciwko, po drugiej stronie, ustawiono karabiny maszynowe. Trudno opisać, co działo się w naszej grupie: panika, krzyki, spazmy, chęć ucieczki i słowa modlitwy. W pewnym momencie, być może na skutek jakiegoś polecenia, gdyż wzdłuż ulicy Górczewskiej jeździli na motocyklach niemieccy oficerowie, zrezygnowano z jakichkolwiek akcji. Popędzono nas wzdłuż torów kolejowych pod wiaduktem do szopy, znajdującej się po lewej stronie ulicy. Była tam już spora grupa ludzi, w tym dużo kobiet i dzieci. Usiedliśmy na ziemi pełni trwogi i niepewności, co z nami będzie.

Po pewnym czasie zaczęto wywoływać ludzi, informując, że potrzebni są fachowcy, na przykład 20 elektryków. Zgłaszali się chętni, wychodzili, a po pewnym czasie słychać było strzały. Gdy zabrakło „chętnych”, zaczęto wybierać z pozostałych w hali ludzi, a były to głównie osoby ze szpitala i kobiety z dziećmi. W końcu przysła kolej na mnie.

Wypędzono nas w grupie około 20 osób i skierowano w stronę ulicy Górczewskiej. Razem ze mną wyszedł mężczyzna o kulach. Gdy weszliśmy na ulicę Górczewską zobaczyliśmy, że poprzednie grupki są rozstrzeliwane – po kilka osób wpędzono na plac znajdujący się na lekkim wzniesieniu. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że to koniec mojego życia i zacząłem odmawiać modlitwę do Matki Boskiej „Pod Twoją obronę”. Pomyślałem również o swojej Matce, że na próżno będzie na mnie czekała. Idący ze mną mężczyzna o kulach, wyprowadzony również ze Szpitala Wolskiego, rzucił kule, wziął mnie pod rękę i powiedział „daj pyska, to koniec, już się nie zobaczymy”, po czym zaczął iść na własnych nogach.

Gdy doprowadzono nas pod pałac się domy, byłem świadkiem makabrycznego wydarzenia. Widziałem, jak dwóch mężczyzn w białych fartuchach coś tłumaczyło oficerowi w mundurze niemieckim, który w pewnym momencie wyjął pistolet i dwa razy strzelił. Mężczyźni padli, a on spokojnie odszedł.

Następnie wprowadzono nas na plac. Z lewej strony leżały stosy trupów, a po prawej było wolne miejsce i tam nas skierowano. W pewnej odległości – półkolem – stali żołdacy, tacy sami jak ci, co

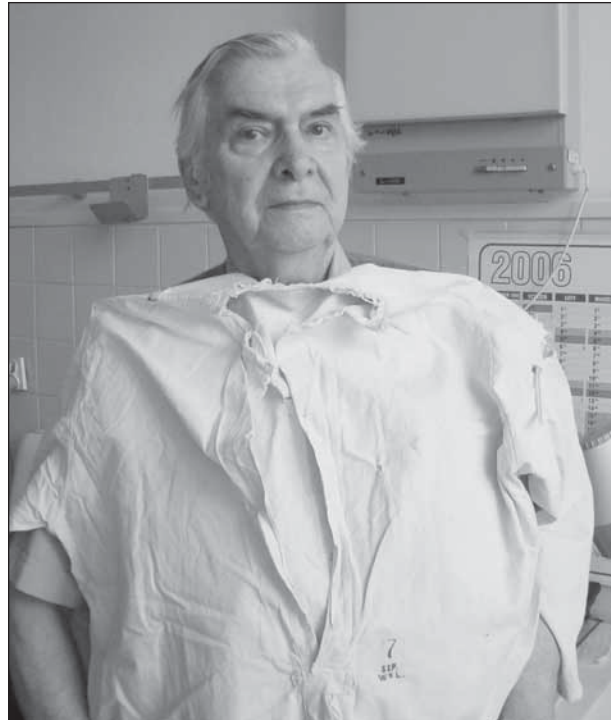
wypędzali nas ze szpitala, z karabinami gotowymi do strzału. Szedłem razem z tym mężczyzną, który rzucił kule, i w pewnej chwili usłyszałem strzały. Mój współtowarzysz wędrowki padł i ja również, przez niego pociągnięty. Poczulem, jak kula przeszła przez niego i przeszła moją rękę. Upadłem na twarz, podpierając głowę ręką. Leżałem twarzą do ziemi, słyszałem dalsze strzały, krzyki i jęki leżących obok mnie. Nie wiedziałem, czy żyję – nie wiadomo przecież, jak to jest po śmierci. Słyszałem tylko kroki żołdaków i strzały dobijające ofiary.

Wtedy znowu usłyszałem coś, co pozostało mi długo w pamięci. To był głos proszącej kobiety: „Zabijcie najpierw moje dziecko, a później mnie”. W pewnym momencie głos kobiety zamarł, a pozostało kwilenie dziecka, które również po pewnym czasie ucichło.

Leżałem tak i straciłem rachubę czasu. Strzały ucichły, a ja dalej nie wiedziałem, czy żyję. Nie czułem żadnego bólu, tylko szum w uszach.

W pewnym momencie usłyszałem głos – czy jesteś ranny? Podniosłem głowę, było ciemno, początek nocy. Leżałem nieopodal płonącego domu i w świetle ognia ujrzałem przed sobą piekielny widok: stopy palących się ciał ludzkich, podpalonych przez główne spadające z palących się domów, a jednocześnie niesamowity zapach. Człowiek, który mnie „obudził”, zaczął się czołgać, a ja za nim. Zapamiętałem trupa kobiety, która leżała z otwartą damską torebką w ręku. Prawdopodobnie oprawcy po zabójstwie okradali swoje ofiary. Po trupach doczołgałem się do płotka pomiędzy palącymi się domami (jedno- lub może dwupiętrowymi) a jakąś komórką. Stała tam drabina, po której przeszedłem na drugą stronę placu, gdzie leżała sterta tobołków. Zrzuciłem z siebie szpitalny szlafrok i założyłem jakąś marynarkę. Zacząłem się obmacywać i poczułem lekki ból w lewej ręce. Nie była to jednak rana, a jakby dziwne oparzenie. Jak się później okazało, kula przeznaczona dla mnie przeszła tylko przez rękaw koszuli na wysokości serca. Koszulę tę z wyhaftowanym napisem „7 Szpital Wolski” mam do dnia dzisiejszego. Przechowuję ją jako najważniejszą pamiątkę mojego ocalenia (fot. 1, 2).

Zacząłem wędrowkę, oddalając się od miejsca kaźni. Razem ze mną było jeszcze dwóch mężczyzn (w tym ksiądz) oraz starsza kobieta. Podczas wędrowki przechodziliśmy obok kościoła, prawdopodobnie na Kole. Wtedy ksiądz się od nas odłączył i tam pozostał. Ja, wędrując dalej, doszedłem do domów, w których mieszkali jeszcze ludzie. Pytali, jak tam na Woli, bo słyszeli już o tych strasznych rzeczach. U jednych z nich pozostałem na noc. Rano znowu tacy sami żołdacy jak w Szpitalu Wolskim wyrzucili mieszkańców domu, którzy mnie przy-



Fot. 1. Pan Eugeniusz Trepczyński pokazujący koszulę, którą nosił 5 sierpnia 1944 r. Na lewym rękawie widać wyhaftowany napis



Fot. 2. Fragment koszuli z torem pocisku na rękawie. Mniejszy otwór wlotowy kuli jest dobrze widoczny

garnełi i razem z nimi, po różnych perypetiach na posterunkach niemieckich, udało mi się dotrzeć do wsi o ówczesnej nazwie Gać (obecnie Radiowo – osiedle mieszkaniowe położone na terenie Bielán).

Zupełnie przypadkowo i nieświadomie trafiłem w to miejsce, jak się później okazało – bardzo szczęśliwie. Tam spotkałem siostrę mojego kolegi, która uparcie nie chciała, abym szedł dalej. Pożegnałem zatem swoich opiekunów i pozostałem z jej rodziną. Zatrzymałem się – ku swojemu wielkiemu zdziwieniu – w domu kobiety, która przynosiła przed wojną do mojego domu mleko i nabiał. Przed wojną czasami spędzaliśmy u niej wolne dni i niedziele. Jej mąż był sołtysem w tej wsi. Później został roz-

strzelany za pomoc powstańcom z Puszczy Kampinoskiej. Naturalnie wszyscy byli ciekawi, co słyszeć w Warszawie i moje opowieści ich zszokowały. Następnego dnia gospodarz, widząc mój nienajlepszy stan psychiczny, zaproponował, abym pojechał z nim na pole po zboże. Kiedy wracałem z pola, spotkało mnie nieopisane szczęście. Siedząc na wozie na snopkach, zobaczyłem przed domem gospodarzy oczekujące mnie moją Matkę i siostrę. Nie jestem w stanie opisać tego spotkania. Były okrzyki radości i łzy szczęścia. Moja Matka, po wysiedleniu z Warszawy w dniu 6 sierpnia, postanowiła udać się wraz z córką właśnie do tej kobiety, wiedząc, że będzie przyjęta. Ja natomiast, kierowany jakąś nieznaną siłą, zupełnie przypadkowo znalazłem się właśnie w tej miejscowości i u tej kobiety. I jak tu nie wierzyć w opatrzność Boską?!

Przeżyć moich i wielu tysięcy ludzi, których bestialsko zamordowano w tym miejscu, tak naprawdę nie da się opisać ani opowiedzieć. Te wspomnienia tkwią w głębi człowieka i pozostaje po nich blizna na całe życie. Przy każdej próbie powrotu do nich

wydaje się, że był to koszmar sen, w moim zaś przypadku ze szczęśliwym przebudzeniem. Koszmar ten pozostawił trwały ślad. W sierpniu 1944 roku, kiedy miałem niespełna 20 lat, pojawiło się pasmo siwych włosów, a później zachorowałem na długoletnią chorobę płuc. Chcąc o wszystkim zapomnieć, po wojnie starałem się unikać ulicy Górczewskiej. Dopiero po dłuższym czasie zacząłem każdego 5. sierpnia chodzić na miejsce kaźni. Spotykałem tam 2 osoby, które tak jak ja cudownie ocalały. Od kiedy moje córki dorosły, chodzę tam z nimi, aby zapalić znicz i odmówić modlitwę za wszystkich pomordowanych.

Ze Szpitalem Wolskim łączą mnie więc więzy, których nie sposób zerwać. Cały czas czuję do tego miejsca jakiś sentyment. W młodości leżałem w nim dwa razy pod bardzo dobrą opieką dr Janiny Misiewicz. Z tego szpitala wyprowadzono mnie na śmierć, która jednak nie była mi przeznaczona.

Eugeniusz Trepczyński